

Umieliśmy odpowiedzieć na wyzwanie

Tomasz Wójcik

Kiedy poproszono mnie, bym napisał coś o początkach „Solidarności”, ogarnęła mnie panika. Nie zbierałem dokumentów, nie zapisywałem wydarzeń, nie robiłem notatek, nie pisałem też nigdy w życiu pamiętników. Dlatego z pewną treścią piszę parę słów o początkach „Solidarności”. Będzie to nie zapis historyczny, a raczej parę luźnych wspomnień, na które pozwala mi moja pamięć o tym, jak to było, z mojego punktu widzenia i mojego osobistego doświadczenia. Bez silenia się na naukową syntezę czy analizę tego wielkiego procesu i wydarzenia, jakim jest „Solidarność”.

Było to w lipcowy albo sierpniowy dzień 1968 roku we Wrocławiu, już po zakończeniu śledztwa w sprawie, w której mnie zamknięto. A zamknięto mnie za Marzec 1968 roku, za propagowanie dzieł Lenina, a konkretnie IV tomu, którego fragment brzmi: „państwo, w którym policjant zarabia więcej niż nauczyciel, jest państwem policyjnym”. To zdanie w wielu setkach egzemplarzy drukowaliśmy na ulotkach i rozdawaliśmy. Okazało się, że mogło ono podważyć ustrój, obalić władzę ludową, zaszkodzić PRL. Tak więc pod tak ciężkim zarzutem spędziłem parę miesięcy w więzieniu. Śledztwo zostało zakończone i wówczas z zupełnego odosobnienia przeniesiono mnie do cel wspólnych, gdzie można było wychodzić na spacer z innymi więźniami. Właśnie takiego pięknego słonecznego dnia na spacerze spotkałem człowieka. Młodego chłopaka, który wyglądał na smutnego. Jakby się czymś ciągle martwił. Próbowałem z nim rozmawiać. Dowiedziałem się, że również jest studentem, że jest oskarżony o zniszczenie pomnika czy czegoś podobnego. Zobaczyłem w nim bratnią duszę. Rozumiałem, że tak samo jak ja został bezsensownie zamknięty, że była to zwykła represja. Po latach spotkaliśmy się ponownie. Był to Marek Muszyński.

Po marcowych procesach wróciłem na uczelnię. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego ówczesne władze komunistyczne wyraziły zgodę na to, bym kontynuował studia. Fakt, że warunki, aby je kontynuować i skończyć, narzucono mi bardzo ostre. Ale dzięki takim osobom jak profesor Krzysztof



■ Tomasz Wójcik – przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” od 13.12.1980 do 13.12.1981 i od 30.05.1989 do 27.03.1990

Pigoń, pani doktor Anna Sobczyk i wielu innych wspaniałych ludzi na uczelni, na Wydziale Chemicznym, którzy wówczas nas uczyli, mogłem nadrobić wszystkie braki w ekspresowym tempie i skończyć studia. Wtedy też okazało się, jaka jest rzeczywista postawa znakomitej części kadry naukowej Politechniki Wrocławskiej, po której stronie mają serce, jaki mają stosunek do studentów. Rzeczywiście, to byli i nadal są wspaniali ludzie. Oczywiście, najważniejszym wydarzeniem lat siedemdziesiątych był niespodziewany wybór kardynała Karola Wojtyły na papieża i Jego pielgrzymka do Polski. Nie przypuszczałem wówczas, jakie piętno wywrze to wydarzenie nie tylko na moim życiu.

W roku 1980 z rodziną pojechaliśmy na wakacje do lasu. Zbieraliśmy grzyby, było fantastycznie. Byliśmy zupełnie odcięci od świata. Kiedy wróciliśmy pod koniec sierpnia, dowiedzieliśmy się, że jest jakiś strajk. Zupełne zaskoczenie. Ta informacja w lesie do nas nie dotarła, nie mieliśmy radia, byliśmy odcięci w zupełnej głuszy.

No i ten szok, kiedy powróciliśmy. Strajk, który zaczyna się rozprzestrzeniać na cały kraj. Nawet nie miałem czasu bardziej się tym wówczas zająć, ponieważ natychmiast wyjechałem na konferencję do Rzeszowa. W jej trakcie, zamiast uczestniczyć w obradach, bez przerwy słuchaliśmy radia,

dyskutowaliśmy, co z tego będzie, niezmiernie się tym ekscytując i oczywiście przestępując z nogi na nogę, żeby jak najszybciej wrócić do Wrocławia. Powrót do Wrocławia, to chyba była sobota albo niedziela, trudno mi w tej chwili odtworzyć. Był strajk komunikacji. Cudownie, z dworca wracaliśmy na piechotę. Czuć było atmosferę powszechnej solidarności, powszechnej przyjaźni. W powietrzu, było to coś fantastycznego.

W poniedziałek 3 września na uczelni pustka – studentów jeszcze nie było, tylko część pracowników. Niemniej, nie wiem, co mnie wtedy podkusiło, na kartce papieru napisałem, że wszystkich tych, którzy są zainteresowani utworzeniem nowego związku, zapraszam do laboratorium, do pracowni, o godzinie pierwszej, wczesnym popołudniem. Przyklepiłem tę kartkę na tablicy ogłoszeń. Nie miałem w ogóle pojęcia, ile osób się pojawi. Ku mojej radości i zdziwieniu jedną z pierwszych osób, które weszły do pracowni, był profesor Krzysztof Pigoń. Dyskusja była krótka, rzeczowa, ludzie natychmiast wpisali się na listę jako członkowie nowego związku, nie było jeszcze wtedy nazwy „Solidarność”. I z tak tworzącą się komórką „Solidarności” pobiegłem do Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego – by ją zarejestrować. Międzyzakładowy Komitet Założycielski mieścił się na ówczesnym pl. Czerwonym, dzisiaj pl. Solidarności. Okazało się, że równoległe koledzy z dwóch innych instytutów rejestrowali podobne inicjatywy. Następane dni to było poszukiwanie w różnych instytutach bratnich dusz. Nie było to skomplikowane. Ludzi, którzy podjęli się podobnej działalności, znalazło się sporo. Zorganizowaliśmy spotkanie inicjatorów i w trakcie tych spotkań padła myśl, że dobrze by było koordynować nasze działania, żeby działać wspólnie. Powstał Komitet Założycielski. Zaproponowano mi, bym nim tymczasowo kierował.

Jedną z ważniejszych rzeczy, którą należało załatwić, była sprawa tak zwanych interwencji, czyli badania sygnałów o nieprawidłowościach w funkcjonowaniu uczelni i o niegodziwościach, których doświadczali pracownicy Politechniki. Trafiały do nas sprawy niewłaściwego traktowania pracowników, nadużyć, talonów samochodowych, nieuprawnionego korzystania ze środków publicznych, czyli uczelnianych, prywaty. Dlatego powołaliśmy komórkę interwencyjną. Tymi sprawami głównie zajmował się Zdzich Przywoźny. Robił to z wielką pasją, z wielkim zaangażowaniem i z odwagą.

Dobrze pamiętam odczucia towarzyszące większości z nas. Z jednej strony rozum podpowiadał, że władze komunistyczne nie zostawią naszego ruchu w spokoju, to znaczy że będą nas próbowały penetrować, nasyłać różnego rodzaju agentów. Z drugiej strony panowała atmosfera niezwyklego

otwarcia, niezwyklego zaufania, przygarniania każdego, kto chciał się przyłączyć i chciał z nami współpracować. To rzeczywiście były dwie zupełnie sprzeczne myśli, dwie zupełnie sprzeczne idee. Jak otworzyć się i jak jednocześnie sprawdzać? Nie mieliśmy środków, metod sprawdzania, nie mieliśmy żadnej dokumentacji czy innych możliwości. Zdarzały się czasami takie sytuacje, gdy na podstawie podejrzeń ktoś został niesłusznie skrzywdzony. Czyjeś dziwne zachowanie było poczytywane za dowód na to, że jest agentem. Paradoks polegał na tym, że często agenci zachowywali się najbardziej aktywnie, niektórzy wręcz wyróżniali się swą gorliwością.

Drugim nurtem mojej działalności poza Politechniką była edukacja. Nasze doświadczenia organizacyjne okazały się na tyle dobre, że zapraszano nas, a konkretnie mnie, do wielu wrocławskich zakładów, żeby pomóc organizować związek. Chodziło o najprostsze rzeczy: jak się powołać na odpowiednie prawo, jak zorganizować i prowadzić zebrania, jak protokołować, jak to zrobić, żeby wszystko miało ręce i nogi. Nie wchodząc w detale: by ludzie mogli postępować według określonych wzorców. Wcześniej nie mieli okazji, by się sprawdzić, ponieważ w czasach komunistycznych żadna organizacja im nie odpowiadała.

Ten okres chodzenia po zakładach, dzielenia się doświadczeniem z ludźmi wspominam bardzo sympatycznie. Spotykałem się z przejawami ogromnej przyjaźni i solidarności od zwyczajnych prostych ludzi, robotników bardzo inteligentnych, którym system komunistyczny odebrał możliwości działania i służenia społeczeństwu. I dopiero w czasie „Solidarności” odkrywali siebie samych na nowo. Mogli się każdego dnia przekonywać o tym, jak wiele rzeczy potrafią, jakie otworzyły się przed nimi szanse. Z tego czasu datuje się wiele moich przyjaźni, sympatii właśnie z ludźmi z zakładów pracy.

Wówczas ponownie skrzyżowały się losy Marka Muszyńskiego i mój. Marek został moim zastępcą – wiceprzewodniczącym Komisji Zakładowej. I tak sobie przypominam, że właśnie ten chłopak, którego spotkałem w więzieniu w 1968 roku, teraz tutaj na Politechnice znowu był razem ze mną. I już w innej roli, nie tak ponurej, tylko raczej radosnej, razem mogliśmy współdziałać.

Później były wybory delegatów na Walne Zebranie Delegatów, poprzedzone Walnym Zebraniem Delegatów oddziału. Następnie wybory delegatów na I Krajowy Zjazd. Zostałem wybrany. Nie brałem udziału w kandydowaniu do władz regionalnych ani krajowych. W czasie Krajowego Zjazdu pełniłem funkcję wiceprzewodniczącego Komisji Uchwał i Wniosków. To było bardzo ciekawe miejsce. Podczas obrad wpływały setki wniosków,

w których kłębiło się mnóstwo różnych idei. Było to miejsce ciężkiej pracy przy opracowywaniu wniosków, żeby całość miała ręce i nogi.

Szczegóły wydarzeń z czasów dopełnienia tworzenia się „Solidarności”, czyli I Zjazdu, drugiej części I Zjazdu, historycy opisują już jako wydarzenia historyczne. Pamiętam niektóre wydarzenia z I Zjazdu w Oliwie. W Komisji Uchwał i Wniosków pracowała koleżanka z Koszalina, nie pamiętam jej nazwiska i imienia, siedziała koło mnie, i w pewnym momencie z wielką troską powiedziała: „I to wszystko na nic”. Zapytałem, dlaczego na nic? „Bo oni to wszystko zniszczą, to tak nie będzie”. Wtedy odpowiedziałem jej: „Słuchaj, tu jest takie stężenie dobrej woli, że z tego nie może nie zostać ślad, to jest po prostu niewyobrażalne, żeby po tym nic nie zostało”. Chciałem ją po latach odnaleźć, żeby jej przypomnieć, że jednak nie wszystko zostało zniszczone, chociaż próba tego zniszczenia oczywiście była. Nie udało mi się.

Kolejne wydarzenie to był stan wojenny. Dla mnie zbiegł się on z moim rodzinnym wydarzeniem. Na dwa dni przed wprowadzeniem stanu wojennego urodziła się moja córka. Żona była w szpitalu, ja zostałem w domu z trójką starszych dzieci, były to jednak maluchy. W nocy z soboty na niedzielę jak zwykle siedziałem i coś czytałem; było po pierwszej w nocy, gdy radio przestało działać. Dzisiaj to byłoby wielkie zdziwienie, ale w tamtych czasach były różne problemy energetyczne, wyłączenie radia nie było więc czymś zaskakującym. Pomyślałem sobie, że to po prostu kolejne ograniczenie, i wobec tego zamierzałem się położyć spać. W tym momencie dzwonek do drzwi. Pytam, kto? Słyszę głos: „Telegram”. Jakoś tak odruchowo otworzyłem drzwi, wtedy one wyszły z zawiasów nieomal że same. Stało w drzwiach dwóch chłopaków mniej więcej po dwa metry wzrostu, z karabinami, w mundurach, i jeszcze jacyś cywile. Przytknęli mi karabin do brzucha, postawili pod ścianą, no i zaczęli przeglądać mieszkanie, nic nie mówili. Protestowałem, ale w ogóle się tym nie przejmowali. Stwierdzili, że jestem sam z małymi dziećmi. Zapytali, gdzie żona, mówię, że w szpitalu. Pokręcili się, jeden, najstarszy, cywil, gdzieś poszedł, nie było go z pół godziny. Po powrocie kazał żołnierzom wstawić drzwi. Cały czas pytałem, po co przyszli, czego tu szukają, co to za prowokacja. Odpowiedział, że mieli doniesienie, że mieszkam nielegalnie bez pozwolenia. No, mówię, czekajcie wy, będziecie prowokacje po nocy robić. Położyłem się spać. Wydawało mi się, że się tylko położyłem, słyszę ponownie dzwonek, więc sądziłem, że to oni wrócili. Ale wcale nie było tak wcześnie, jak przypuszczałem, była już siódma rano, i to nie byli znowu oni. W drzwiach był chyba Zdzich Przywoźny lub Marek Muszyński.

Mówią: – Stan wojenny.

– Co wyście powariowali? Jaki stan wojenny?

Nie skojarzyłem tego nocnego napadu.

– Jak to, nie wiesz?

– Nie wiem, obudziliście mnie pierwsi.

Prosiłem, żeby zanim ja się zbiorę, skoczyli do Władka Sidorowicza, który nieopodal mieszkał, sprawdzić, czy on jeszcze tam jest. Pobiegli, wrócili, mówią, że już go zabrali w nocy. Więc to nie są żarty. Nie mogłem dzieci zostawić samych, zapakowałem je więc do syreny i pojechałem do żony. Zastanawialiśmy się, co w tej sytuacji zrobić. Bo przecież z jednej strony trzeba się opiekować dziećmi, a z drugiej strony to oczywiste, że jak się opamiętają, to wrócą, żeby mnie zwinąć. Nie będę na to czekać. I uzgodniliśmy, że dopóki ona nie będzie zdolna do powrotu, to ja z dziećmi gdzieś przy pomocy teściów się schowam, a później zobaczymy, jak się sytuacja rozwinie. No i w ten sposób nie mogłem przyjechać na strajk uczelniany, zostałem z niego w jakiś naturalny sposób wyeliminowany. Żona po paru dniach wróciła ze szpitala, ale strajk był już po pacyfikacji, a nasi koledzy zostali aresztowani. W takiej sytuacji do domu nie wróciłem. Korzystając z pomocy znajomych i przyjaciół, ukrywałem się. Rzeczywiście, przychodzili pytać się o mnie przez pewien czas. Później uspokoiło się i któregoś dnia postanowiłem wrócić do domu. Było zupełnie ciemno, wydawało mi się, że nikt nie mógł mnie widzieć. Po piętnastu minutach już byli, złapali mnie i zawieźli, oczywiście, najpierw na Łąkową, a później do Nysy, do obozu internowania. Czyli jednak jakaś obserwacja była, ktoś musiał dać znać. Bo jest to niemożliwe, żeby to był taki czysty przypadek.

Internowanie w Nysie nie było dla mnie jakimś traumatycznym, wielkim przeżyciem. Po 1968 roku, po ponad pół roku siedzenia w więzieniu, warunki internowania wydawały mi się czymś nieporównywalnie lepszym i nie aż takim groźnym. To był też czas, w którym nawiązałem mnóstwo przyjaźni z robotnikami z fabryk, poznałem fantastycznych ludzi. Pewnie nigdy bym takiej możliwości nie miał, gdyby nie okres internowania. I tak sądzę, że trochę na tym internowaniu władze komunistyczne przewiozły się, mówiąc kolokwialnie.

I kolejne wydarzenie, które utkwilo mi w pamięci. To było w sierpniu, przed samą manifestacją, zapowiedzianą na 31 sierpnia w rocznicę Porozumień Sierpniowych. Wróciłem z pracy i natychmiast zostałem zabrany na Łąkową, dostałem nakaz internowania po raz wtóry. Wyprowadzono nas z cel trzydziestu jeden i zaprowadzono do samochodów więźniarek. Siedzieliśmy w nich chyba ze trzy godziny i w tym czasie przez szparę w drzwiach widzieliśmy, jak przywożą kolejnymi samochodami

na dziedziniec komendy MO setki ludzi, których przepuszczano przez szpaler i pałowano w sposób niemiłosierny, nie patrząc kogo. Był to widok rzeczywiście przerażający. Taki rozwścieczony szpaler zomowców. Chyba byli rzeczywiście czymś odurzani, bo zachowywali się w sposób niezwykle agresywny – żeby nie obrażać zwierząt – zwierzęcy. Bici byli często przypadkowymi ludźmi, którzy w większości koło tej manifestacji po prostu przechodzili. Po paru godzinach wywieziono nas do Strzelina. Krótka po manifestacji zwolniono nas z internowania.

Trzeci raz internowano mnie na początku listopada i z tego internowania pamiętam dość zabawną scenę. Byliśmy już wtedy trochę podszkoleni, wiedzieliśmy, jak się zachować wobec służby więziennej. Umówiliśmy się, że kiedy będą wzywać po nazwisku, tak jak to zwykle czyniono w więzieniu, to nikt się nie zgłosi, dopóki nie będą mówili per pan. Nie byliśmy skazani, nie byliśmy więźniami, wobec tego żądaliśmy przynajmniej właściwej formy zwracania się. I rzeczywiście, kiedy przyszła straż więzienna, zaczęto czytać po nazwisku. Same nazwiska według listy, nikt się nie odzywał. Pełna konsternacja – byli zdziwieni, że nie ma tych osób, które mają na liście, coś im się nie podobało. Zaczęli na nas krzyczyć i wtedy odważyłem się i powiedziałem, żeby na nas nie krzyczeli. Bo nie mają żadnych podstaw, nie mają prawa na nas krzyczyć, jesteśmy zwykłymi, niewinnymi ludźmi. To, że nas tu przywieźli, to nie jest powód żeby na nas się drzeć i nam ubliżać. Muszą się do nas zwracać per pan. Po naradzie grzecznie czytali, dodając przed każdym nazwiskiem „pan”. Oczywiście pozamykali nas w celach, ale był to taki drobny wyłom. Musieli tę formę zachować. Jednak są to tylko drobiazgi, odpryski, pewne ciekawostki, a nie istota całego wydarzenia.

Czas po zniesieniu stanu wojennego, a jeszcze przed rokiem 1989, był dla mnie okresem „ciuciubabki”. Z jednej strony nie włączałem się w struktury podziemne, oficjalnie nie pełniłem żadnej funkcji, względy bezpieczeństwa nakazywały bowiem absolutną ostrożność. Ale z drugiej strony było czymś nienaturalnym nic nie robić. Wobec tego robiłem różne drobne rzeczy, a to przewoziłem papiery, a to brałem jakąś porcję prasy czy książek i rozprawdzałem po domach. Robiłem to w sposób niezwykle prosty, w siatce – torbie, niosłem ulicą, jechałem autobusem, wstępowałem do kolejnych znajomych, dostarczając im prasę i książki. Czasami trzeba było też przewieźć maszynę drukarską, też uważałem to za normalne. Z perspektywy czasu widzę, że było to jednak wariackie działanie, kiedy w środku nocy jechałem gdzieś opłotkami Wrocławia, wioząc maszyną drukarską.

W tym też czasie zacząłem, od 1983 roku, chodzić na piesze pielgrzymki z Wrocławia do Częstochowy. Początkowo była to dla mnie bardziej manifestacja polityczna niż przeżycie religijne. Można było tam bowiem spotkać tysiące ludzi i w sposób swobodny mówić o tym, co się czuje, co się myśli. Była to oaza wielkiej swobody, gdzie można było, mimo zakazów, przez cały czas nieść transparenty, flagi „Solidarności”, gdzie można było mieć koszulkę z napisem „Solidarność”. I mimo że na zewnątrz był zakaz, w tym kręgu, w obszarze tej pielgrzymki można było spokojnie dyskutować i manifestować. Były to też okazje do wygłaszania prelekcji, słuchania wypowiedzi innych. Przyjeżdżali różni prominentni profesorowie, działacze, nawet Frasiński swego czasu był raz czy dwa razy, oczywiście nie na całej trasie. W każdym razie była to oprócz przeżycia religijnego wielka manifestacja patriotyczna i również taką rolę pielgrzymka odgrywała. To było piękne i utkuło mi to w pamięci.

Chodziłem zwykle z grupą ojca Ludwika Wiśniewskiego, z grupą dominikańską, wielką, liczącą prawie tysiąc osób. Wiele z nich pełniło prominentne funkcje w mieście i w społeczeństwie.

W pewnym momencie zaproponowano mi, żebym wstąpił do Regionalnego Komitetu Strajkowego. Zgodziłem się, wydawało mi się, że jest już na tyle spokojnie, że przestaną mnie nękać, że może przestałem być obserwowany tak wnikliwie, że może z pewnym zachowaniem środków ostrożności można byłoby spróbować. No i oczywiście, ponieważ nie używaliśmy do informowania telefonów, tylko w zasadzie umawialiśmy się bezpośrednio, stosując dodatkowo odpowiednią procedurę sprawdzenia, czy nie jest się śledzonym, można było spotykać się z pewną dozą pewności, z pewnym bezpieczeństwem.

Zanim o tym opowiem, to jeszcze słowo o pewnym wydarzeniu. Na początku 1983 roku przyszedł do mnie kiedyś Bogdan Aniszczuk i powiedział, że może będzie potrzeba jakiejś współpracy, jak się ze mną kontaktować. Oczywiście kontaktowanie telefoniczne nie wchodziło w grę. Zresztą telefonu wówczas też nie miałem. Więc narysowałem mu odręcznie schemat dotarcia do mojego domu. Ponieważ było to osiedle świeżo budowane, do mojego, ostatniego domu dojazd był przez błoto i płyty betonowe. Trzeba było specjalnie pokazać, jak dojechać, żeby nie wpaść w błoto. Taki schemat mu dałem. I zupełnie niespodziewanie, w dwa dni po ogłoszeniu, że Piniór został aresztowany, zostałem zniemacka zatrzymany, aresztowany. Wieczorem przyjechali, zabrali mnie, trzymali 48 godzin. Po 48 godzinach zaczęli mnie przesłuchiwać. Ponieważ już miałem opracowaną metodę odpowiedzi na różne pytania, głównie były to odpowiedzi: nie

wiem, nie pamiętam, czy zupełnie coś nieistotnego, a na końcu „odmawiam podpisania protokołu”.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę, bo mam takie prawo.

Doprowadzało to przesłuchującego do białej gorączki. No i wreszcie nie wytrzymał i pokazał mi ten świstek.

– Co to jest?

– Nie wiem, co to jest. Jakiś plan.

Okazało się, że ten plan znaleźli przy Piniorze i pewnie sądzili, że jestem jego bliskim współpracownikiem i że w ten sposób coś ze mnie wycisną. A to chyba było tak, że Pinior zbierał informacje o możliwości dotarcia do współpracowników, ale nieroztropnie trzymał przy sobie całą tę dokumentację. Tak że gdy go chwycili, to niestety później wszystkich tych, których przez to namierzyli, też próbowali jakoś przebadać.

I druga zabawna historia, nie umiejscowię jej dokładnie w czasie. Było to w okresie intensywniejszej działalności SB, zamykano mnie często, mniej więcej co dwa tygodnie spędzałem 48 godzin na Łąkowej. Któregoś razu dla odmiany zostałem zabrany z domu bardzo wcześnie, około piątej rano. Przywieźli mnie na Łąkową, wprowadzili do pokoju przesłuchań. Zauważyłem, że w pokoju obok jest Andrzej Zarach z Instytutu Matematyki. Siedzą tam z nami, próbują rozmawiać, jest rano, godzina szósta, rozmowa się nie klei, i słyszę, jak w pewnym momencie oficer SB usiłuje Andrzeja podejść socjotechnicznie. Mówi: „Panie Andrzeju, to proponuję herbatę, czy napije się pan herbaty?”. A on: „Owszem”. Słysząc przygotowania, herbata jest podana. Zaczynają ją pić i w pewnym momencie ów oficer pyta: „No to, panie Andrzeju, proszę powiedzieć, jaka jest data pańskiego urodzenia”. Zaległa cisza i po chwili odpowiedź: „Czy nie sądzi pan, że jak na pierwsze spotkanie to pytanie to jest zbyt intymne?”. Oczywiście całe przesłuchanie szlag trafił i skończyła się kurtuazja, ale też żadnego rezultatu nie osiągnął ów oficer.

Moje pielgrzymowanie na Jasną Górę nie skończyło się tylko na mozolnym poprawianiu mojego sumienia. Ojciec Ludwik miał jakąś magiczną siłę przyciągania. Przyciągnął pod koniec 1985 roku grupę ludzi z uczelni i kultury. Grupa ta pod wpływem ojca Ludwika utworzyła „Ruch bez przemocy”. Uradziliśmy, że wzorem hinduskiego przywódcy Gandhiego trzeba tworzyć ośrodki obywatelskiego sprzeciwu. W 1986 roku w więzieniach znalazła się nowa grupa działaczy, wśród nich też Władek Frasyniuk. Wymyśliliśmy, że staniemy w najruchliwszym miejscu Wrocławia z transparentem „Uwolnić więźniów politycznych”, a kiedy nas zamkną, w następnych dniach wyjdą tzw. kanapki, czyli tacy, którzy będą nieść plakaty, przed sobą i na plecach, wzywające do uwolnienia więź-

niów politycznych. Tak się też stało. W naszej grupie obok ojca Ludwika w habicie stało w sumie sześć osób. Był z nami ponadosiemdziesięcioletni profesor Marian Suski, przedwojenny mistrz olimpijski z Sydney. Stanęliśmy z wielkim transparentem. Nie staliśmy długo. Nieco dłużej siedzieliśmy w areszcie. W następne dni wyruszyły „kanapki” i zrobiło się wokół sprawy bardzo głośno. Takie działania z pewnością dodawały ludziom wiary i podnosiły ducha.

Wracając do mojej pracy w Regionalnym Komitecie Strajkowym. Otóż części członków RKS-u nie znałem. Ani z imienia, ani z nazwiska, znałem tylko pseudonimy i nawet nie próbowałem dowiedzieć się więcej. Dopiero po 1989 roku dowiedziałem się, jak oni się naprawdę nazywali.

W ostatniej fazie, w ostatnim roku funkcjonowania Regionalnego Komitetu Strajkowego, zostałem jego przewodniczącym. W tym czasie pierwszą rzeczą było to, by za zebrane z zakładów pieniądze dostarczać „Z dnia na dzień”. Czyli trzeba go było redagować. Było to coraz trudniejsze. Trzeba pamiętać, że entuzjazm malał generalnie, że równolegle były podejmowane działania ze strony komunistycznej władzy, np. udzielanie nieformalnej koncesji dla komitetów założycielskich. Wówczas tych faktów nikt nie kojarzył z innymi wydarzeniami, ale teraz wiadomo, że w roku 1987 komunistyczna Polska postanowiła wrócić do Międzynarodowej Organizacji Pracy. Przez cztery lata zawiesiła swoją działalność w MOP z powodu powołania przez tę organizację Komisji Śledczej.

Wracając po czterech latach do Międzynarodowej Organizacji Pracy, PRL musiała wykazać się jakimiś działaniami liberalizującymi na terenie kraju, i to była właśnie zgoda na tworzenie jeszcze nierejestrowanych komitetów założycielskich. Tych faktów dotąd nikt ze sobą nie łączył. Dlaczego takie działania podjęto? A podjęto je dlatego, że postępowała izolacja dyplomatyczna PRL, rosły trudności gospodarcze, to były rzeczy, które zmuszały komunistów do ustępstw. Wobec tego komitety założycielskie nie były czymś, co było jakby bez kontroli, bez koncesji władz komunistycznych, to był proces, nad którym oni chcieli panować. W RKS-ie, nie znając uwarunkowania zewnętrznego, ale z analizy sytuacji i na podstawie naszych ocen, doszliśmy do wniosku, że nie należy ujawniać się, że należy struktury tajne zachować. Frasyniuk wówczas bardzo nalegał, żeby spotkać się z RKS-em. Chciał znać nazwiska wszystkich członków RKS-u, a myśmy mu zdecydowanie odmawiali. Mówiliśmy, że może się spotkać w ten sposób, że nie będzie widział ani jednej osoby. Może rozmawiać, ale nie będzie wiedział z kim. On się na to nie chciał zgodzić, on chciał to wszystko przejąć. Powiedzieliśmy, że

absolutnie nie, że żadnych ujawnień nie będzie. Ten sprzeciw ze strony RKS-u w stosunku do Frasyniuka wynikał z tego, że mieliśmy wiedzę, że Frasyniuk jest bardzo nieostrożny. To znaczy, że on jest obserwowany i wszystkie jego kontakty są rejestrowane, czyli jeżeliby faktycznie doszło do takiego spotkania, to i tak wszyscy byliby namierzeni. Więc nie było uzasadnione, żeby się z nim spotykać i żeby w ten sposób odkrywać całą strukturę. Bo to właśnie spowodowałoby odtajnienie, aresztowania i rozbięcie.

Tak więc wytrwaliśmy do samego końca w sposób konspiracyjny. Przynieśliśmy sobie, że nie będziemy ujawniali się nawet, jeżeli dojdzie już do działalności jawnej, i tak też się stało. Dopiero po kilkunastu latach, kiedy historycy zaczęli dobierać się do dokumentów, zdecydowaliśmy się, że odtajnimy skład RKS-u, i w tej chwili historycy tym się zajmują. W owym jednak czasie, kiedy były przygotowania do wyborów w 1989 roku, zdecydowanie przynieśliśmy sobie, że nikt nie będzie znał składu RKS-u.

W roku 1988 na Politechnice, zgodnie z przyjętymi zasadami, że z jednej strony RKS pozostaje tajny, a tam, gdzie można publicznie związek jakoś restaurować, ponownie odtwarzać struktury, podjęta została odbudowa „Solidarności”. Przystąpiliśmy do odtworzenia naszej jawnej struktury. Nie została odtajniona cała struktura „Solidarności”, która była w czasie stanu wojennego. Wiadomo, że wiele osób dzisiaj nadal aktywnych to były osoby, na których ta struktura się opierała. Pani Jadwiga Szymonik, śp. Staszek Jabłonka, czy choćby Rysiek Czoch. Ja nawet do końca tego składu nie znam, ale przecież i te dane pewnie niedługo będą opublikowane. To były osoby, na których ta cała nasza organizacja politechniczna się opierała. Jak mi wiadomo, około tysiąca osób przez cały stan wojenny płaciło składki, to był fenomen na skalę krajową, że tak wielka liczba ludzi tak aktywnie uczestniczyła w funkcjonowaniu konspiracyjnego związku.

W 1988 roku zebraliśmy się, starzy członkowie Prezydium. Brakło w naszym gronie Tadeusza Huskowskiego, już świętej pamięci. Ci, którzy zostali, próbowali odnowić naszą działalność. Nie było to proste, ale w sumie jakoś udało się na zasadzie formuły tymczasowości, to znaczy, że kontynuujemy naszą pracę z pełnym przekonaniem, iż naszym zadaniem jest doprowadzenie do nowych wyborów. Żeby naszą organizację odnowić, ale tę samą. To nie miała być nowa organizacja, ale ta sama co w 1980 roku. Należało tylko ją odświeżyć i doprowadzić do normalnych wyborów, żeby mogła funkcjonować. Wówczas nie chciałem pełnić funkcji przewodniczącego. Uważałem, że powinna nastąpić zmiana. Kiedy doszło do odtworzenia,

trzeba to powiedzieć, bardzo przychylny był nam pan rektor profesor Jan Kmita. Mimo że nie byliśmy oficjalnie zarejestrowani, udostępnił nam pomieszczenia i przeprowadzał z nami konsultacje, wysłuchiwał, w takim zakresie, w jakim to było możliwe, naszych wniosków. Bardzo ciepło wspominam ten czas współpracy z panem rektorem profesorem Janem Kmitą. Bardzo godnie się zachował.

Kiedy w roku 1989 powstała idea Okrągłego Stołu, wiele osób przychodziło do mnie z chęcią uczestnictwa. Ja osobiście byłem przeciwnikiem Okrągłego Stołu. Ale nie zatrzymywałem, jeżeli ktoś chciał uczestniczyć. Kiedy Okrągły Stół się skończył, a właściwie skończył, było to 17 kwietnia 1989 roku, w jednej z większych sal Politechniki zorganizowałem spotkanie z Władkiem Frasyniukiem. Otwarte zebranie, na które przyszli nie tylko członkowie „Solidarności” z Politechniki, ale także z innych uczelni. Władek przedstawił pracę Okrągłego Stołu i pamiętam jak dziś pytania, które mu postawiono. Jedno z nich brzmiało: „Czy »Solidarność« będzie ponownie rejestrowana?”. Chodziło o to, że były poważne spory, czy „Solidarność” będzie nowa. Jeśli ta sama, to nie wymaga rejestracji – była już zarejestrowana, a jeżeli nowa, to znaczy ponownie zarejestrowana.

I Władysław Frasyniuk odpowiedział, że nie będzie rejestracji, że to jest restytucja tej samej „Solidarności”. I drugie pytanie: „Czy jest prawdą, że będzie podwyżka cen od lipca o 300 proc.?” I Władek powiedział, że nie, że jest to absolutnie niemożliwe. Jeżeli będzie, to najwyżej około 30 proc.

Kiedy zebranie się skończyło, rozmawialiśmy z Frasyniukiem w gronie Prezydium „Solidarności” przy Politechnice Wrocławskiej. Wówczas przyznał, że 17, czyli w tym samym dniu, następuje sądowa, ponowna rejestracja „Solidarności”. Powiedział więc publicznie ewidentną nieprawdę. Świadomie skłamał, że „Solidarność” nie będzie rejestrowana, sam bowiem ten wniosek do sądu podpisał. W sprawie drugiej też wyznał, że podwyżka będzie 300 proc., natomiast żądano nawet 500 proc. Ale zgodzili się tylko na 300 proc. I wówczas zapytaliśmy go, dlaczego powiedział nieprawdę, dlaczego to zrobił. Nie dał nam na to odpowiedzi. Nie mogę tego momentu zapamiętać, ujawniło to bowiem, jakie standardy niektórzy stosują w stosunku do ludzi w swojej działalności publicznej, coś, co nie mieściło mi się w ogóle w wyobrażeniu, że tak można z ludźmi postępować.

Następnie mieliśmy wybory 4 czerwca 1989 roku. W tych wyborach nie uczestniczyłem i wzywałem innych do nieuczestniczenia w nich. Trzeba też powiedzieć, że „Solidarność”, krusząc mur komunizmu, już wtedy zaczęła za to płacić cenę. Zaczął się proces, którego nie można zatrzymać. Otóż

trzeba było ludzi do pełnienia funkcji w różnych strukturach oficjalnych, samorządowych. Skąd ci ludzie mogli iść? Mogli iść tylko z szeregów „Solidarności” i widać było odpływ tych ludzi. Z jednej strony serce bolało, że związek został pozbawiony wielu znacznych osób, tego potencjału, ale z drugiej strony, co zrobić innego, kiedy trzeba się było z tym pogodzić, bo taka była konieczność, tak musiało się stać. Z tego tytułu dzisiaj serce boli jeszcze bardziej, jak mówią, że kiedyś to była inna „Solidarność”. I mówią to ci, którzy właśnie odeszli, którzy nie rozumieją, że przechodząc, wychodząc z „Solidarności”, z jednej strony robili to, co trzeba było zrobić, ale z drugiej strony dziś nie mają prawa mówić, że to już nie ta „Solidarność”. To jest ta sama „Solidarność”, tylko składająca się z innych osób, „Solidarność” bowiem oparta jest też na ideałach, a nie tylko na osobach.

Jest jeszcze jeden argument, który musi tu być rozważony i użyty. Przez 25 lat co roku odchodził z tego świata jeden rocznik. Jednocześnie mamy w społeczeństwie 25 roczników ludzi nowych, którzy nic nie wiedzą o komunizmie ani o starych czasach, i 25 roczników od 25. roku życia do 50 lat ludzi, którzy mają często zupełnie inne wyobrażenie o świecie niż ich poprzednicy. Byli za młodzi, żeby wcześniej jakkolwiek funkcję pełnić, a dzisiaj to są ludzie dorośli czy nawet starsi, a więc nastąpiła wymiana pokoleniowa. Zarzucanie, że tamta „Solidarność” to była inna od tej, która jest teraz, nie ma sensu. Należy się natomiast zastanowić, co zrobiono z ludźmi „Solidarności”, co zrobiono z ideą „Solidarności”. Nie dotyczy to tych, którzy zostali przy niej, bronią jej, trwają i ją organizują, ale tych, którzy z „Solidarności” wyszli i którzy sobie przypisują prawo nazywania się „Solidarnością”.

Nie stawiam zarzutu, tylko poddaję pod rozwagę takie pytanie, niech sobie odpowiedzą, czy mają prawo mówić, że oni są z „Solidarnością”, skoro z niej wyszli, skoro przeszli do innych funkcji i robią coś innego. Niech robią to dobrze, ale niech nie mówią, że są reprezentantami „Solidarności”. Być może ta refleksja powinna zakończyć moje osobiste wspomnienia o „Solidarności”, o tym, jak ona się kształtowała. Mam jednak w stosunku do setek ludzi ogromny dług wdzięczności za to, że w jakiś sposób mnie kształtowali, że byli często głosem mojego sumienia, że gdy coś robiłem nie tak, to mnie krytykowali, pomagali, byli moimi recenzentami. Nade wszystko jednak byli moimi przyjaciółmi i są nimi nadal. To jest mój osobisty dług w stosunku do tych ludzi. Czy żałuję tych lat? Nie żałuję, to był dla mnie wspaniały okres. Cieszę się, że mogłem go przeżyć, że mogłem i nadal mogę w tym uczestniczyć. Tak się złożyło, że jestem jedynym delegatem, który uczestniczył we wszystkich krajowych zjazdach „Solidarności” od

pierwszego do obecnego, jubileuszowego. Jest to dla mnie jakieś ogromne wyróżnienie, powód do wielkiej radości.

I na zakończenie jeszcze wspomnienie o roli, jaką mi dane było pełnić od 1991 roku w imieniu „Solidarności” w Międzynarodowej Organizacji Pracy, to jest w Radzie Administracyjnej Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie. Dzięki tej pracy mogłem w sposób zupełnie niespodziewany mieć wgląd w stosunki pracy na całym świecie i zobaczyć, w którym miejscu jesteśmy my jako Polacy. Mogłem zobaczyć też pewną niepopularną prawdę, że z wszystkimi naszymi problemami, naszymi kłopotami należymy do najbogatszej części świata i jak bardzo często nie doceniamy tego, co mamy. Że większość świata ma nieporównywalnie gorsze warunki od naszych. Tylko my na ten temat nic nie wiemy, bo byliśmy przez wiele lat krajem zamkniętym, bez możliwości porównywania się z innymi.

Praca w Genewie otworzyła mi możliwości lepszego poznania rzeczywistości i naszego miejsca w świecie. Czasami aż drzę o to, byśmy nie stracili tego miejsca. Właśnie z tego powodu, że nie rozumiejąc globalnych procesów, akceptujemy niewłaściwe idee, między innymi na zasadzie wahadła, odrzucając komunizm, poszliśmy w objęcia liberalnego kapitalizmu. Może już czas, by zdobyć się na refleksję, że dla kapitalizmu alternatywą nie jest komunizm. Komunizm jest właściwie systemem, który wyrósł z tych samych przesłanek, co kapitalizm, w którym nie ma miejsca dla człowieka. Jeśli odwołamy się do naszych idei „Solidarności”, przypomnimy sobie zobowiązanie zapisane w statucie, że naszą działalność opieramy na społecznej nauce Kościoła. Z tego wynika dla nas bardzo jasna myśl, jasna koncepcja społeczeństwa budowanego na fundamencie społecznej nauki Kościoła.

I tak, jeszcze raz na zakończenie, przygotowując wykład dla studentów na temat związków zawodowych w świecie, znalazłem publikację książkową wydawaną w Wielkiej Brytanii, gdzie prezentowane są wszystkie związki zawodowe z całego świata. Pod hasłem „Polska” jest „Solidarność”, a historia „Solidarności” zaczyna się od słów, że wybór Karola Wojtyły na papieża rozpoczął proces, w którym powstała „Solidarność”. Anglicy, którzy nie są papieżowi przychylni, którzy nie są skłonni do tego rodzaju uniesień, przyznali Janowi Pawłowi II fundamentalną rolę w powstaniu „Solidarności”. Ciekawe, czy my w Polsce też taką Jego rolę uznajemy, czy dostrzegamy, że „Solidarność” właściwie zawdzięcza swoje istnienie właśnie Jemu. Że umieliśmy wówczas odpowiedzieć na Jego wyzwanie?

Nie zmarnujemy tej szansy

Janusz Biernat

Z początkiem roku 1980 odbywały się wybory do Rady Zakładowej ZNP. Jak wielu moich kolegów, miałem wtedy jeszcze nadzieję, że działalność związkowa jest sposobem upominania się o prawa pracownika. Mimo że nigdy nie ukrywałem moich radykalnych poglądów na ówczesną rzeczywistość, zaproponowano mi kandydowanie do Rady Zakładowej (pewnie na zasadzie „młody gniewny”). Moje złudzenia rozwiały się już podczas wyborów prezesa. Jedynym kandydatem okazał się poprzedni prezes, którego działalność była powszechnie krytykowana – uzyskał minimalną liczbę głosów, ale został „przyniesiony w teczkę”. Ja zostałem członkiem Prezydium Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Mieszkałem z żoną i malutkim dzieckiem w hotelu asystenta Politechniki Wrocławskiej. Nie mieliśmy telewizora. Pod koniec sierpnia wróciliśmy z wakacji. Z radiowych programów wynikało, że coś się w kraju dzieje. Słowo „solidarność” nabrało wtedy zupełnie nowego wyrazu. Chciałoby się powiedzieć, parafrazując partyjną nowomowę, „mówiliśmy – solidarność, myśleliśmy – wolność, braterstwo, równość”.

To słowo miało wówczas także swoje zwykłe znaczenie – wzajemna pomoc. To nic, że nie działa komunikacja – każdy, kto może, podwiezie cię do domu, do pracy, na strajk.

To nic, że w sklepach puste półki – ktoś na pewno się z tobą podzieli tym, co ma.

Jeśli ty strajkujesz za mnie, to ja pomogę tobie i twojej rodzinie.

I udało się, pod presją takiej solidarności władza musiała zawrzeć porozumienie z narodem.

Prezydium Związku Nauczycielstwa Polskiego zebrało się w ostatnich dniach sierpnia, co miało raczej charakter symboliczny, bo zdarzenia biegly już wtedy bardzo szybko. Tomek Wójcik organizował właśnie grupę, która na tyle głośno, na ile było to możliwe, zaczęła popierać strajki na Wybrzeżu i dążyła do powołania, a może raczej ujawnienia działalności wolnych związków.

Na posiedzeniu Prezydium ZNP zgłaszano szereg



■ Janusz Biernat – przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” od 27.03.1990 do 20.02.1991

postulatów, zwłaszcza dotyczących spraw uczelnianych. Gremium pod przewodnictwem Tomasza Palewskiego – prawdopodobnie z inspiracji partii – próbowało też podjąć jakieś uchwały popierające działalność komitetów strajkowych, ale było już za późno. Chyba po trzech dniach zwołano kolejne zebranie, ale frekwencja była mniejsza niż 50 proc. i skończyło się to niczym. A potem... była już „Solidarność”.

W ostatnich dniach sierpnia, gdy strajki na Wybrzeżu dobiegały szczęśliwego finału, stwierdziłem ze zdziwieniem, że właściwie wszyscy pracownicy wrócili z urlopów. Gdy wraz kolegami podjęliśmy starania o zorganizowanie zebrania założycielskiego wolnego związku w instytucie, obecnych było już chyba 95 proc. pracowników. Prawie wszyscy zapisali się do wolnych związków. Tylko kilku zachowało rezerwę. Parę dni później w Instytucie Cybernetyki Technicznej (I-6) odbyło się zebranie Komitetu Założycielskiego, a po tygodniu zebranie wyborcze. Kandydowałem na przewodniczącego Komisji Oddziałowej, ale przegrałem wybory z powodu „niechlubnej przeszłości”, czyli przynależności do Prezydium Związku Nauczycielstwa Polskiego. Zostałem jednakże wybrany w skład Prezydium Komisji Oddziałowej przy I-6.

Wśród pracowników panowało wtedy ogólne przeświadczenie, że jak popatrzymy dyrektorowi czy innej władzy na ręce, natychmiast wszystko zmieni się na lepsze. W wielu wypadkach byli to po prostu nasi starsi koledzy, którzy w otaczającej ich rzeczywistości robili to, co mogli (choć może nie zawsze), i samo zaglądnienie im przez ramię nie mogło spowodować drastycznych zmian. W naturze człowieka jest jednak niechęć do twierdzenia, że podstawą sukcesu jest wysiłek, długotrwała praca. Łatwiej wierzyć, że jak tupniemy nogą, będzie nam lepiej.

Zaczęły się miesiące aktywnej działalności wszelkich komórek związkowych, które kierowały przedstawiciele (czasem po kilku) na posiedzenia rad instytutu czy kolegiów dyrekcyjnych. Zgłaszali oni postulaty w rozmaitych sprawach (czasem były nieco odrealnione; wiem, bo sam też je zgłaszałem).

Wszyscy pamiętają konflikt o rejestrację związku, potem wydarzenia w Bydgoszczy, związane z tym napięcie i rozważania, jak w razie potrzeby będziemy się bronić, dyskusje o podsłuchach (kto kogo podsłucha: my ich czy oni nas?). Nastroje były bojowe, potem emocje ostygły. Środowisko uczelni jest inne niż w typowym zakładzie pracy. Tu łatwiej przekonać kogoś argumentami, stonować klimat dyskusji, szukać rozwiązań akceptowanych przez obie strony. Wtedy działałem na szczeblu instytutu. Stosowano zasadę, że nie należy łączyć funkcji związkowych. Zatem przedstawiciel Komisji Oddziałowej (instytutowej) do Komisji Zakładowej nie pełnił żadnych funkcji w komisji instytutowej. Bywał, oczywiście, na wszystkich zebraniach, ale nie był jej członkiem.

W roku 1981 rozpoczęły się wybory do władz uczelni. Miała to być pierwsza demokratyczna kadencja. Pamiętam zebranie poświęcone wyborom dyrektora instytutu. Było dwóch kandydatów – obaj równie godni zaufania, przy czym jeden był członkiem PZPR, a drugi nie. Gdy szala sympatii wyborczych zaczęła przechylać się na rzecz członka partii, padło z sali pytanie (na które wszyscy znali odpowiedź) o przynależność organizacyjną. To zdecydowało, że wybrano osobę bezpartyjną. Wybrany dyrektor instytutu zaproponował mi funkcję zastępcy. Zaprotestowałem, bo nie czułem się kompetentny ani przygotowany do tej roli. On jednak argumentował, że skoro tak dobrze mi poszło zorganizowanie pracy związkowej, powinienem się podjąć tego zadania. Ostatecznie poddałem się argumentowi: „Jeżeli nie boi się pan odpowiedzialności, nie powinien pan odmówić”. Od września 1981 r. objąłem nową funkcję, która przyniosła mi nowe doświadczenia. Ale w grudniu przyszedł stan wojenny.

Doczekaliśmy się już i zapewne jeszcze doczekamy wielu ocen i analiz związanych z datą 13 grudnia 1981 roku. Dla mnie jest to dzień prawdy o ludziach, których, jak mi się wcześniej wydawało, dobrze znałem. Oczywiście, nie każdy potrafi być bohaterem czy konspiratorem. Lecz w tym właśnie dniu wielu zapomniało, co znaczy słowo solidarność. Niektórzy tak bardzo, że nie udało im się tego już nigdy przypomnieć.

Kiedy otrząsnęliśmy się z mroków grudniowej nocy, okazało się, że mimo wszystko „Solidarność” nie zginęła. Cieszyliśmy się za każdym razem, kiedy udało się przyłożyć władzy, kiedy udało się okazać naszą solidarność. Było nas jednak coraz mniej.

Zaraz na początku stanu wojennego w większości jednostek uczelni dyrektorzy złożyli dymisje na ręce rektora profesora Tadeusza Zipsa, który ich nie przyjął, uznając, że nawet jeżeli on zostanie odwołany, na niższych szczeblach powinni zostać ludzie możliwie niezależni. Tak – z nielicznymi wyjątkami – się stało. Również w moim instytucie. Był to trudny okres, także z powodu odgórných nacisków, by „zrobić porządek” w sterze politycznej. Dla mnie byli to koledzy, z którymi współpracowałem w Związku Nauczycielstwa Polskiego, w „Solidarności”, których dążenia rozumiałem. Udało się jakoś przetrwać tę kadencję bez większych strat. Dwie czy trzy osoby wyemigrowały na Zachód, ale te decyzje zapadały w zupełnie innych kręgach, władze instytutu nie były o niczym informowane. Wtedy mogliśmy się tylko domyślać, pod jakim wpływem nasi pracownicy decydowali się na takie kroki.

Przez cały ten czas mobilizujące były słowa Papieża z jego pierwszej wizyty w Polsce – „Nie lękajcie się”. Realizacja tego przesłania nie była dla mnie nigdy problemem, co zawdzięczam swoim rodzicom i doświadczeniom z działalności w duszpasterstwie akademickim.

Choć nie mam natury wojownika, starałem się uczestniczyć w akcjach podejmowanych przez podziemną „Solidarność” i wspierać kolegów, którzy byli odważniejsi w czynach. Dla mnie priorytetem była ochrona mojej rodziny. Z tego okresu najbardziej pamiętam prawdziwą, spontaniczną solidarność międzyludzką. Ten trudny czas odślonił też prawdziwe oblicza wielu osób – była to prawdziwa weryfikacja postaw.

W roku 1987 wyjechałem na półtoraroczny kontrakt na uniwersytet w Mosulu w Iraku. Powrót do Polski był jednocześnie powrotem do aktywnej działalności w związku. Do końca 1988 roku czekaliśmy na dalszy ciąg zmian politycznych. Na ile potrafiłem, brałem udział w cichej działalności. We wrześniu 1988 roku kierująca niejawnymi

działaniami związkowymi Uczelniana Komisja Koordynacyjna podjęła decyzję o wyjściu związku „na powierzchnię”. Poszczególne jednostki miały wydelegować swoich przedstawicieli na zebranie ogólnouczelniane.

Należało zatem w Instytucie Cybernetyki Technicznej zorganizować zebranie. Musiałem pójść do dyrektora instytutu i poprosić go o udostępnienie sali. Dyrektor, jak większość ówczesnych szefów, był członkiem partii, ale jako człowiek pragmatyczny powiedział: „Dobrze, organizuj zebranie, tylko mnie w to nie mieszaj”. Pocztą pantoflową rozpowszechniono informację o zebraniu i o akceptacji dyrektora, która stwarzała umiarkowaną gwarancję bezpieczeństwa uczestników. Mimo to u niektórych zwyciężyła ostrożność, na zebranie przyszło trzydzieści kilka osób. Zostałem jednym z dwóch reprezentantów I-6.

Zgodnie z wolą zadeklarowaną przez członków „Solidarności” Komisja Zakładowa podjęła działalność pod kierunkiem sześciuosobowego Prezydium.

Oficjalnie związek nie był zalegalizowany, ale był to czas, gdy bardzo wiele zależało od uczciwości i odwagi (a także politycznego wyczucia) poszczególnych osób. Tu właśnie wiele zawdzięczamy osobie ówczesnego rektora profesora Jana Kmity, który korzystając z przysługującego mu prawa zapraszania poszczególnych osób na posiedzenia kolegium rektorskiego, natychmiast po wyborach zaczął na nie zapraszać Tomasza Wójcika („osobę prywatną”, jak mawiał Urban o Wałęsie). Tomek mógł na tych posiedzeniach wyrazić swoje stanowisko, a następnie referował omawiane problemy na zebraniach Komisji Zakładowej. Następnie Tomek zaczął być imiennie zapraszany na posiedzenia Senatu Politechniki Wrocławskiej. Trudno byłoby zrobić więcej na tym etapie.

4 czerwca 1989 roku jeszcze raz udało nam się zmobilizować i pokazać siłę. A wkrótce potem okazało się, że ważniejsze od solidarności są prywatne interesy... Widzieliśmy, jak wielu naszych wcześniejszych idoli zaczyna wymieniać solidarność na różnego rodzaju profity.

Oczywiście, wykorzystata to doświadczona władza! Czy pamiętacie ten zaskakujący nagły zwrot PZPR w styczniu 1990? To był majstersztyk! Pozornie zlikwidować zniechęconą partię, aby wkrótce zamienić ją na realną władzę zdobytą w sposób demokratyczny! I to dzięki skłóconej, ale bardzo niedoświadczonej opozycji, która uwierzyła i chyba nadal tkwi w tym przekonaniu, że komuniści przestali być realnym zagrożeniem, uznając jednocześnie za głównego przeciwnika... Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”! Potem Tomek Wójcik został wybrany na przewodniczącego Regionu Dolny Śląsk, a ja zostałem wte-

dy wybrany na wakujące miejsce i objąłem funkcję przewodniczącego Komisji Zakładowej Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” przy Politechnice Wrocławskiej, którą pełniłem w latach 1990-1991.

W tym czasie siedzibą Komisji Zakładowej były pomieszczenia na parterze budynku C-7. Po wprowadzeniu sztandaru pewnej organizacji pojawiła się możliwość uzyskania pomieszczeń w budynku A-1 i – mimo obaw i sprzeciwu wielu kolegów – podjąłem decyzję o przeniesieniu do lokalu opuszczonego przez Komitet Uczelniany. Dziś mało kto pamięta poprzednich lokatorów, tak jak w roku 1991 mało kto pamiętał, kto był pierwotnym lokatorem pomieszczeń przejętych przez związek. Z pomocą księży kapelanów wykonaliśmy niezbędne egzorcyzmy i wypędziliśmy diabła.

W tym czasie borykaliśmy się z wieloma problemami. Rozbudzone zostały wielkie nadzieje, lecz rzeczywistość nie była tak różowa. Wprawdzie bezwzględne prawa gospodarki rynkowej doprowadziły do unormalnienia spraw ekonomicznych, lecz gdzieś po drodze zagubiły się sprawy ludzkie i pracownicze.

Wplątanie związku w mechanizmy władzy doprowadziło do konfliktu interesów. Efektem jest starzenie się związku. Młodzi ludzie nie widzą w „Solidarności” siły, która mogłaby im pomóc rozwiązać problemy dnia codziennego. Nie zdają sobie pewnie sprawy z tego, że nawet odważne działania przewodniczącego będą skazane na porażkę, jeśli nie zostaną wsparte siłą członków związku. Są zapewne przekonani, że swoje sprawy muszą rozwiązać samodzielnie. Co więcej, łatwo przypisują swe porażki błędom popełnionym przez związek. Czy jest szansa, aby to zmienić? Jaka przyszłość czeka nasz związek? Czy stanie się znów odskocznia dla żądnych władzy? A może przewagę uzyskają ci, którzy uważają, że wystarczy wykrzyknąć swoje racje, aby od razu wszystkim było lepiej?

Czy „Solidarność” znajdzie swoje miejsce w naszej nowej, kreującej się wciąż rzeczywistości?

Czy uda się zachować solidarność, nie nadużywając wolności? I czy wreszcie zaczniemy rozumieć słowo „równość” jako równość szans, a nie równy za wszelką cenę udział wszelkich dóbr?

Nie zmarnujmy tej szansy, jaką wciąż daje nam nasza SOLIDARNOŚĆ.

*Bardzo bliska jesteś i daleka,
Ale jest coś takiego w Tobie,
Że pomimo wszystko wierzę, czekam.*

Jaki jeszcze numer mi wyniesiesz...

Moja droga do i z „Solidarnością”

Witold Jabłoński

To już 25 lat „Solidarności”, organizacji, która dzięki swojej masowości, mądrości swoich członków i współpracy z Kościołem doprowadziła do rewolucji społeczno-politycznej przy minimalnych stratach ludzkich. Czy rewolucja ta się skończyła? Moim zdaniem nie. I nie należy się dziwić, że trwa to tak długo. Wynika to z trzech co najmniej z przyczyn.

Po pierwsze, w każdej rewolucji są dwie strony. W rewolucjach bezkrwawych walka jest dłuższa, bo przegrani oficjalnie poddają się, ale istnieją i mogą działać w sposób niejawni.

Po drugie, osiągnięcie celów polskiej rewolucji wymaga zmiany mentalności społeczeństwa wychowanego w komunie, jest to proces, który wymaga czasu, a cel jest osiągany w kolejnych pokoleniach.

Po trzecie, rewolucji dokonali ludzie skupieni w organizacji, która była ruchem społeczno-politycznym, nieprzygotowanym do pokojowej rewolucji i do budowania nowego ustroju w warunkach, w których przegrani, a właściwie przefarbowani, mieli stanowiska, doświadczenie, środki masowego przekazu i pieniądze.

Uważam, że przemiany, jakie się dokonały w ostatnich dekadach, są w tych warunkach i tak ogromne. Mimo braku doświadczenia politycznego, funduszy i przy silnym i dobrze zorganizowanym przeciwniku ludzie identyfikujący się z „Solidarnością” oddali sprawie swoje serca. To fakt, że z biegiem lat szeregi nasze zmaleły. Niektórzy odeszli do wieczności, niektórzy zajęli się polityką, tworząc różne partie, których głównym celem jest zdobycie władzy, jeszcze inni zajęli się biznesem, gdzie liczy się głównie interes.

Ja pozostałem wierny ideom solidarnościowym. Wynika to z mojej drogi do „Solidarności” i z 25 lat przynależności do niej.

Dzieciństwo moje przypadło na czasy wojenne, młodość na najgorsze czasy stalinowskie, a dorosłe młode życie i praca na PRL ery gomułkowskiej i gierkowskiej. Komuna nieco zwiędła, ale była wciąż sobą. O najczarniejszych latach komuny nie będę pisał, bo tych czasów w krótkich słowach nie



■ Witold Jabłoński – przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” od 20.02.1991 do 31.03.1998

da się przedstawić. Wprawdzie byłem wtedy młody i sam najgorszego nie doznałem, ale oczy i uszy miałem zdrowe. Pomagali tym oczom i uszom moi rodzice, ludzie o silnych zasadach moralnych i niewyobrażalnej uczciwości.

Tylko raz w tym okresie pojawiła się w moim sercu iskierka nadziei – w roku 1968. Pracowałem już wtedy na Politechnice Wrocławskiej. Byłem na wiecu zorganizowanym w auli przez studentów. Oni byli wspaniali! Byli wśród nich również nieliczni pracownicy naukowo-dydaktyczni, którzy nie bali się konsekwencji udziału w wiecu. Utkwił mi w pamięci obraz ul. Skłodowskiej-Curie – jezdnią szła duża grupa studentów z profesorem Marianem Suskim na czele. Wspomnę też gesty przyjaźni mieszkańców Wrocławia, którzy mimo silnej obstawy budynków Politechniki przez służby bezpieczeństwa przynosili studentom jedzenie i słowa poparcia. Niestety, społeczeństwo nie było przygotowane do masowego przeciwstawienia się tym, którzy wprowadzali „najsprawiedliwszy ustrój na świecie”. Ludzie przeważnie się bali.

Później przyszła era gierkowska. Poziom życia podniósł się znacznie. Nikt nie myślał wtedy, skąd taki wzrost i jakie będą konsekwencje ogromnego zadłużenia. Prawie nikt wtedy nie zdawał sobie sprawy, że Gierek uczynił też coś, co później umożliwiło obalenie ówczesnego ustroju – pozwolił Po-

lakom wyjeżdżać na Zachód i porównywać życie w krajach „demokracji ludowej” z życiem „zgniłego kapitalizmu”. To, co oczy zobaczyły i czego ręce dotknęły, było znacznie silniejsze od tego, co uszy słyszały z Wolnej Europy.

Pojawił się regres gospodarczy, którego skutki przeciętny Polak odczuł na sobie. Nadszedł więc czas protestów, wywołanych na szczęście przez tych, kogo władza najbardziej się obawiała i zawsze zapewniała, że ich reprezentuje – przez robotników. Dobrze pamiętam te dni sierpniowe, w których drogami nieoficjalnymi, a następnie nieśmiało i oględnie przez radio i telewizję dochodziły do nas wiadomości o kolejnych strajkach. Nie zapomnę pracownika instytutu naukowego z Moskwy, który wtedy przyjechał do nas służbowo. Przychodził do mnie do domu, siedział godzinami przy radiu i telewizorze, słuchał, wytrzeszczał oczy i trząsł się ze strachu, czy ja go nie zakupuję za to, że tak się tym wszystkim interesuje. Na marginesie wspomnę, że jadąc na konferencję do Rygi, spotkałem go w Moskwie pod koniec września; po cichu powiedział mi, że pokazały się właśnie w sprzedaży ziemniaki. Pod koniec sierpnia zaopatrzenie Moskwy w jarzyny i owoce zostało prawie wstrzymane, gdyż pochodziły głównie z Polski, a nasi robotnicy zatrzymali transporty jadące na Wschód. Moskwanie musieli czekać na zorganizowanie dostaw tych artykułów ponad miesiąc.

W tych dniach sierpniowych wydarzyło się również coś, co moim zdaniem zwiększyło szansę na sukces. Do robotników przyłączyła się – i została przyjęta – duża grupa inteligencji, a oni zgodzili się na ich doradztwo.

Wreszcie nadeszły te dni najważniejsze dla całej naszej (i pewnie nie tylko naszej) historii powojennej: rokowania przedstawicieli strajkujących robotników z przedstawicielami władzy, podpisanie porozumień i powstanie NSZZ „Solidarność”. To był protest społeczno-polityczny – dla robotników bardziej społeczny, dla inteligencji bardziej polityczny.

Utworzenie nowego związku zawodowego, do którego należeli robotnicy i inteligencja, który wysuwał żądania społeczne i polityczne, było rozwiązaniem niespotykanym na świecie, ale jedynym możliwym dla obu stron negocjujących. Ówczesne władze mogły mówić o powstaniu nowego związku zawodowego, a protestujący mogli traktować ten związek jako ruch społeczno-polityczny.

Wkrótce się okazało, że wraz ze wzrostem liczby członków „Solidarności” i siły związku w działalności zaczęła przeważać polityka. Była to naturalna konsekwencja braku zgody władzy na powstanie opozycyjnej partii politycznej. Ta siła znów przeraziła władzę, która zdecydowała się na wprowadzenie haniebnego stanu wojennego. 13 grudnia 1981

roku był dniem, który przyniósł społeczeństwu polskiemu wiele cierpień i wyrzeczeń.

W poniedziałek rano poszedłem do mojego Instytutu Energoelektryki (budynek D-1). Przed drzwiami stali koledzy, którzy organizowali strajk, i informowali, że do budynku mogą wejść jedynie osoby, które zdecydują się przystąpić do strajku. Obok kręciło się wielu pracowników, którzy nie byli zdecydowani. Ja nie miałem kłopotów z podjęciem decyzji. Skontaktowałem się z żoną, przedstawiając jej, jakie mogą być konsekwencje dla niej i naszych dzieci. Było mi znacznie łatwiej, gdy w pełni zaakceptowała mój wybór.

W D-1 zebrało się około 200 pracowników i studentów. Zebraliśmy się w sali i zastanawialiśmy się, jak działać w nowej sytuacji. Cały czas mieliśmy kontakt telefoniczny ze strajkującymi w budynku A-1. Nadsluchiwalismy również wieści o tym, co dzieje się we Wrocławiu i w całej Polsce. Noc przeszła u nas spokojnie. Spaliśmy na przyniesionych materacach, kocach, śpiworach i matach. Rano usłyszeliśmy o nocnej pacyfikacji Gmachu Głównego. Milicja i służby bezpieczeństwa nie wiedziały chyba, że w D-1 też znajdują się strajkujący. Czekaliśmy na pacyfikację spokojnie. Nic takiego nie nastąpiło. Natomiast przyszli do nas profesoro-

■ Zajezdnia tramwajowa nr II przy ul. Słowiańskiej, Wrocław, sierpień 1980



archiwum MOZ NSZZ „Solidarność” przy MPK

rowie: Krzysztof Pigoń, Tadeusz Zipser i Andrzej Wiszniewski, którzy namawiali nas, abyśmy przetrwali strajk. Uświadomili nam, że wobec tego, co się stało w A-1, nie powinniśmy się narażać na pałowanie i szarpaninę. Po naradzie przyjęliśmy rady profesorów, którzy byli dla nas nie tylko kolegami z „Solidarności”, ale i autorytetami moralnymi.

Nastąpiły aresztowania działaczy i ich internowanie, a dla wielu innych czas działalności podziemnej. Wielu naszych kolegów, nie zważając na groźne skutki (represje, więzienia), działało i wydawało biuletyny informacyjne. Moja działalność w tym okresie była skromna. Zajmowałem się zbieraniem składek członkowskich w zakładzie i wraz z innymi rozprowadzałem prasę związkową. Poza tym zajmowałem się zdobywaniem różnych rzeczy niezbędnych do życia dla mojej rodziny. Jeździłem na wieś po ćwiartkę świniaka, wędziłem zrobione domowym sposobem kiełbasy na działkach koło ul. Grabiszyńskiej, kupowałem na kartki podstawowe artykuły spożywcze, benzynę itp. Później zdobywałem mięso i inne artykuły bez kartek, ale po wielogodzinnym staniu w kolejkach.

Nadszedł rok 1989. Władze zaczęły rozumieć, że społeczeństwo ma coraz większą świadomość i wolę zmian. Doszły więc do wniosku, że uratują swoją skórę, jeżeli zawrą kontrakt z przedstawicielami społeczeństwa. Stroną reprezentującą społeczeństwo była „Solidarność”, ponownie zaczynająca swoją oficjalną działalność.

Wreszcie i ja zobaczyłem realną, będącą w zasięgu ręki możliwość zmiany polskiej rzeczywistości. Z tym większym zapałem zaangażowałem się w działalność mojej organizacji, najpierw w Komisji Oddziałowej, a w roku 1991 – jako wybrany przewodniczący Organizacji Zakładowej NSZZ „Solidarność” przy Politechnice Wrocławskiej, która wtedy liczyła około 3000 członków. Funkcję tę sprawowałem przez 7 lat. Działałem również na szczeblu regionalnym i krajowym. Byłem członkiem Zarządu Regionu Dolny Śląsk, wielokrotnym delegatem na Walne Zebranie Delegatów Dolnego Śląska, delegatem na Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”, a także delegatem na Zjazd Krajowej Sekcji Nauki NSZZ „Solidarność”.

Przez ten czas zawsze przedkładałem działalność na szczeblu zakładowym, która w większym zakresie nosi charakter związkowy, a mniej polityczny. Mam bowiem duszę społecznika i większą satysfakcję daje mi współdziałanie z ludźmi, którym mogę służyć siłą, zaangażowaniem, wiedzą i sercem.

W czasie mej aktywnej działalności w organizacji zakładowej zmieniały się proporcje w pracy związkowej i politycznej. Początkowo kładliśmy nacisk na działalność polityczną, były to bowiem czasy walki ze strukturami starego systemu poli-

tycznego, tworzenia nowego ustroju politycznego i nowych partii politycznych. Z czasem polityki było coraz mniej, a Komisje Zakładowe w coraz szerszym zakresie zajmowały się sprawami pracowniczymi. Ci, którzy należeli do „Solidarności” ze względów politycznych, zaczęli tworzyć nowe partie, angażować się w ich prace i opuszczać nasze szeregi. Opuszczali je też ci, którzy spodziewali się więcej, niż osiągnęliśmy. Mimo to nasza organizacja związkowa wciąż jest najsilniejsza na Dolnym Śląsku, prowadząc skuteczną działalność związkową na uczelni oraz wspomagając wyższe szczeble organizacji w niezbędnej działalności politycznej.

Moja aktywność z latami maleje. Uważam, że nadszedł czas dla aktywnych młodych członków naszego związku. Starszym powinna przypadać rola doradczą. Związek w zakładzie pracy musi się zmieniać. Trzeba przechodzić z działań konfrontacyjnych do współdziałania z pracodawcą, aby obie strony widziały korzyści z tej współpracy. Związek nie powinien też stawiać żądań, których spełnienie mogłoby zakłócić normalną działalność uczelni; lepiej, gdy pracodawca wie, że rozsądny związek dba nie tylko o interesy jednostek i grup pracowniczych, ale i całej naszej szkoły. Do konfrontacji może dochodzić jedynie w tych przypadkach, gdy pracodawca łamie prawo lub nie podejmuje rozmów negocjacyjnych i pomija rozsądne opinie związku. Nie należy też ustawać w działaniach na rzecz uzgadniania wspólnych stanowisk z innymi organami pracowniczymi, w tym i emeryckimi.

Działalność polityczna powinna być ograniczona do minimum. Prowadzenie rozmów z partiami politycznymi ma sens, jeśli partie te chcą reprezentować interesy związku w organach państwowych mających wpływ na kształt prawa pracowniczego.

Teraz, gdy już nie pełnię funkcji związkowych, spotykam się na każdym kroku z dużą życzliwością i chęcią pomocy nawet w drobnych sprawach. To największa satysfakcja, jaka może spotkać działacza organizacji społecznej.

Przeżywanie „Solidarności”

Ryszard Wroczyński

„Solidarność” rodziła się na Politechnice Wrocławskiej w radości i entuzjazmie, których korzenie były w marcu 1968 roku. Wtedy po raz pierwszy do wielu młodych ludzi dotarło, że nie wolno pozostawać biernym i obojętnym wobec tego, co ich otacza. Wielu pracowników uczelni zakładających związków to uczestnicy Marca '68. Uznali oni, że trzeba przeciwstawić się panującemu wszechwładnie systemowi, i to nie po to, by zwalczyć ten system, bo to wydawało się nierealne i nieosiągalne, ale po to, by wyrażać sprzeciw wobec jego niegodziwości. Przełomem dla wszystkich była niewątpliwie wizyta Papieża w Polsce w 1979 roku i Jego słowa wygłoszone podczas pamiętnej homilii na pl. Zwycięstwa. Słuchając słów Papieża, widząc, że nie jesteśmy sami, stawaliśmy się gotowi na podjęcie wyzwania.

Proces zauważalnych zmian w roku 1980 zaczął się na naszej uczelni wyborami do ZNP. Podjęto wtedy próbę, aby związek reformować przy pomocy ludzi jawnie związanych z opozycją. Udało się to jedynie na najniższym szczeblu, ale już na drugim okazało się to niemożliwe.

Gdy dotarły do nas informacje o strajkach lipcowych w różnych miejscach kraju, w tym we wrocławskim Archimedesie, w uczelni trwał okres urlopowy, a studenci byli na wakacjach. Dopiero pod koniec sierpnia wielu z nas przerwało urlopy i przychodziło na uczelnię, by porozmawiać o tym, co się dzieje w kraju i we Wrocławiu. Byłem wtedy pracownikiem naukowym Instytutu Telekomunikacji i Akustyki, miałem małe dzieci i kończyłem doktorat. Pierwszy mój kontakt ze strajkami miał miejsce na spacerze z córkami. Zobaczyłem to, co działo się w zajezdni przy ul. Ślężnej, a że tramwaje nie jeździły, wsiadłem na rower i pogałem na Politechnikę, gdzie spotkałem wielu takich jak ja. Wrzesień był już okresem „założycielskim”. Wywieszano tablice związkowe, przy nich gromadziły się codziennie tłumy ludzi przed rozpoczęciem pracy, literatura drugiego obiegu nabierała powszechnego wymiaru. Ludzie przy tych tablicach poznawali się od nowa, a bywało, że informacje były wymieniane kilka razy w ciągu dnia, więc te kontakty sta-



■ Ryszard Wroczyński – przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” od 31.03.1998

wały się częste. Jak wszyscy, byłem zafascynowany tymi wydarzeniami. Oczywiście ogromne znaczenie miał kolportaż wydawnictw niezależnych, bo wszyscy chcieliśmy jak najszybciej zapełnić lukę w dostępie do nieocenzurowanych wydawnictw. Trzeba było wiedzieć, gdzie i od kogo można było otrzymać wolną prasę i nieocenzurowaną literaturę, gdzie ją zanieść i komu rozdać. Taka między innymi była moja rola.

Zaczynaliśmy się także uczyć działalności czysto związkowej, do której, prawdę mówiąc, byliśmy wtedy słabo przygotowani. Nie jest prawdą, jak uważają niektórzy, że tak jest do dzisiaj!

Na co dzień bardzo pomagała atmosfera tamtych dni, to, że ludzie zaczęli inaczej na siebie patrzeć. „Solidarność” była rzeczywista, wyrastała z atmosfery wzajemnej życzliwości, jaka ogarnęła większość z nas.

W nocy 13 grudnia uderzono w „Solidarność” boleśnie. Pierwsze symptomy dostrzegłem już w poniedziałek 14 grudnia. Byłem kimś w rodzaju łącznika w Zakładzie Radiokomunikacji Instytutu Telekomunikacji i Akustyki (I-28), roznosiłem bibułę, zbierałem składki. Tego dnia przekazywałem informację, że my strajkujemy w budynku D-1 na placu Grunwaldzkim (instytut mieścił się w budynku E-1 przy ul. Prusa) i że wszyscy tam idziemy. Wtedy pierwszy raz usłyszałem: „Ja rezygnuję, nie bio-

rę w tym udziału, chciałbym, ale nie mogę”. Władzy udało się wywołać strach, jednak nie wszyscy mu ulegli.

W instytucie „Solidarność” zrzeszała ok. 90 procent pracowników, dużo ponad sto osób, a na strajk do budynku D-1 poszło nas kilkanaście osób. W gmachu D-1 była siedziba Komisji Zakładowej, tam zgromadzony był sprzęt i materiały. Przyszło ponad sto osób z różnych instytutów. Od pierwszej godziny przygotowaliśmy się na pacyfikację, zabezpieczaliśmy materiały, sprzęt drukarski, duże ilości papieru. Chowaliśmy to między innymi w hali wysokich napięć Instytutu Energetyki. Wszystkim kierowała Jadzia Szymonik. Wieczorem uczestniczyliśmy w mszy świętej, a nocą, około godziny pierwszej, podniesiono alarm, że coś się dzieje w Gmachu Głównym Politechniki, bo wokół niego jeździły samochody i biegali jacyś ludzie. Dopiero nad ranem otrzymaliśmy informację o pacyfikacji. Zapanował nastrój przygnębienia, zwłaszcza że część uczestników zrezygnowała i z grupy ponadstuosobowej zostało nas około 90 osób. Byliśmy gotowi strajkować do końca, przekonani, że będą musieli nas po prostu z D-1 wynieść. Koło południa przyszli do nas między innymi rektor profesor Tadeusz Zipser, prorektor profesor Andrzej Wiszniewski, Wojtek Myślecki, który był dyrektorem gabinetu rektora, i profesor Krzysztof Pigoń, namawiając, a właściwie prosząc, byśmy przerwali strajk, bo wkroczenie ZOMO może doprowadzić do dewastacji budynku. Bestialstwo ZOMO zostało zaprezentowane podczas nocnej pacyfikacji Gmachu Głównego. Pochodzące z wyboru władze uczelni posiadały ogromny autorytet, były szanowane i obdarzane ogromnym zaufaniem. Ich apel odniósł skutek. W mroźne przedpołudnie we wtorek 15 grudnia 1981 roku postaliśmy trochę przy pomniku Profesorów Lwowskich, odśpiewaliśmy „Boże, coś Polskę” w obecności

■ ZOMO na ul. Kazimierza Wielkiego, Wrocław, 31.08.1982



archiwum Komisji Zakładowej

dość licznych przypadkowych słuchaczy zgromadzonych po drugiej stronie placu Grunwaldzkiego i rozeszliśmy się.

Dopiero po powrocie tego dnia do instytutu dowiedziałem się, że podczas pacyfikacji Gmachu Głównego Politechniki zmarł śp. Tadeusz Kostecki. Tego dnia wróciłem jeszcze w miejsce Jego śmierci.

I zaczęła się wojenna codzienność związkowa.

W instytucie, po paru dniach wstrząsu i przygnębienia, spróbowaliśmy stworzyć podziemną strukturę organizacyjną związku. Uznaliśmy, że potrzebny jest jakiś widomy znak przynależności. Zgodzono się, że tym znakiem będzie opłacanie składek. Przynależność zadeklarowało znacznie więcej osób, niż wzięło udział w strajku, chociaż oczywiście nie wszyscy członkowie z okresu przed stanem wojennym. Znow wróciłem do roli kolportera bibuły i zbieracza składek w najbliższej mi grupie.

Mam w pamięci dzień 31 sierpnia 1982 roku, kiedy we Wrocławiu odbywała się potężna manifestacja i walki uliczne, podczas których zginął śp. Kazimierz Michalczyk. Tego dnia trzech moich kolegów z instytutu miało włączony w pracy miernik zakłóceń, za pomocą którego można się było dostroić także do fal używanych przez nadajniki milicyjne. Marian Kozioł, Zdzisław Boguszyński i Marek Kopias pracowali w laboratorium za zamkniętymi drzwiami. Raptem drzwi wyleciały, wpadło trzech cywilów, stłukli naszych kolegów (Mariana Kozioła wyjątkowo dotkliwie), po czym zawieźli ich tam, gdzie gromadzono złapanych uczestników manifestacji. A nazajutrz brano wszystkich i grupkami prowadzono przed kolegium. Nasi koledzy też stanęli przed obliczem Temidy i zdziwieni usłyszeli zarzuty, że rzucali kamieniami w milicjantów. Chłopcy zaczęli się tłumaczyć, że nie żadne kamienie i milicja, tylko SB i Politechnika. W końcu SB się po nich zgłosiła i doszło do procesu. Związek w takich sytuacjach pomagał oskarżonym i ich rodzinom. W czasie procesu bardzo ładnie zachował się profesor Daniel Bem, który był prorektorem Politechniki do spraw dydaktyki i kierownikiem Zakładu Radiokomunikacji. Został przez sąd wezwany jako ekspert i tłumaczył, że nie może być mowy o żadnym przestępstwie, bo to tak, jakby oskarżać kogoś o to, że słyszy czyjeś okrzyki, stojąc przypadkiem pod oknem, z którego one dobiegają. Skoro można usłyszeć w odbiorniku to, co ktoś nadaje, nie ma w tym żadnej winy słuchającego.

Oskarżonym zasądono po półtora roku w zawieszeniu, co obrońca podsumował: „Ponieważ byli niewinni, dostali najniższy wymiar kary”.

Oskarżonym zasądono po półtora roku w zawieszeniu, co obrońca podsumował: „Ponieważ byli niewinni, dostali najniższy wymiar kary”.

Zastanawialiśmy się wielokrotnie, skąd SB wiedziała, kiedy i gdzie wtargnąć, by przyłapać ludzi na gorącym uczynku. Mieliśmy różne tropy i prawdę powiedziawszy, dopiero niedawno dowiedziałem się, kto wtedy najprawdopodobniej doniósł. W końcu do tego pokoju przychodziło wielu ludzi z innych zakładów, którzy nie mieli takiego sprzętu, a też chcieli sobie posłuchać.

Stan wojenny i późniejsze lata to głównie działalność radiowa przedstawiona w osobnym rozdziale, ale także praca w moim instytucie. Wykonywałem powierzoną mi mrówczą pracę kolportera i skarbnika. Czasami wykorzystywałem moje szersze radiowe kontakty do uzupełniania dostaw do instytutu bibuły.

Oczywiście zdarzały się momenty strachu. Trzeba było zdjąć ze wzgórza na Legnickiej nadajnik po nieudanej audycji na początku sierpnia 1982 roku, przekazać ważne informacje Piotrowi Podolskiemu, kiedy groziło mu przypadkowe aresztowanie. Wiele nocy spędzonych najpierw u mnie w domu, a później w warsztacie w piwnicy domu Piotra Podolskiego koło Trzebnicy na uruchamianiu nadajników Radia „Solidarność”. Największe obawy dotyczyły zawsze rodziny. Mieliśmy ustalone z żoną scenariusze postępowania na różne trudne sytuacje.

Na początku 1988 roku szef podziemnej jeszcze wówczas, lecz świetnie zorganizowanej i działającej w instytucie „Solidarność” Tadeusz Gudra powiedział mi, że Uczelniana Komisja Koordynacyjna (UKK) działa dalej, ale równolegle wznawiamy działalność Komisji Zakładowej. Wybory w instytucie odbyły się na początku 1989 roku, tłum na sali, deklaracje kontynuacji przynależności. Zostałem delegatem na Walne Zebranie Delegatów, a 30 maja 1989 roku w wyborach uzupełniających członkiem Prezydium Komisji Zakładowej, w którym pracuję do dziś. Na przewodniczącego Prezydium Komisji Zakładowej wybrano ponownie po latach Tomasza Wójcika. Musiał jakoś rozdzielić członkom Prezydium zadania. Mnie dostały się sprawy płacowe, o których nie miałem bladego pojęcia, a nieco później także sprawy interwencji. Wysłano mnie na krótkie przeszkolenie do Warszawy, gdzie na tamtejszej Politechnice odradzała się Ogólnopolska Komisja Porozumiewawcza Nauki NSZZ „Solidarność” (OKPN), która w 1991 roku przekształciła się w Krajową Sekcję Nauki NSZZ „Solidarność” (KSN). Przy niej zaś tworzyły się zespoły zajmujące się sprawami płacowymi, socjalnymi, legislacyjnymi. Tak powoli wciągałem się we wcześniej mi obce zagadnienia czysto związkowe.

Uczyłem się kodeksów, ustaw, rozporządzeń i zarządzeń. Uczestniczyłem w pracach zespołów opracowujących akty prawne, jeździłem regularnie na



■ XVIII Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”. Pierwszy od lewej Ryszard Wroczyński, Gdańsk, 30.08.2005

spotkania OKPN, a później KSN. Występowałem w obronie członków związku przed sądem.

Najważniejsze jednak było nauczenie się życzliwości dla ludzi. To przecież trudna istota „Solidarność”. Dziękuję za otrzymanie tego daru życzliwości i proszę, aby otrzymali go także moi następcy.

Dziękuję także za wspiających ludzi, których dzięki „Solidarność” dane mi było poznać i których powinienem w tym miejscu wymienić. Próbowałem to zrobić, będzie musiała powstać jeszcze jedna książka.

Obserwowaliśmy, jak zmieniająca się sytuacja polityczna powodowała mniejsze lub większe trzęsienia w związku. I tak po każdych wyborach ubywało nam trochę członków, obwiniających „Solidarność” o nadmierne zaangażowanie polityczne. Najtrudniejszy dla związku był okres 1997-2001. Do mnie co tydzień dochodziły informacje o kilku rezygnacjach z członkostwa. Dziś trochę ta tendencja ustała, zostali ci, którzy dość głęboko rozumieją korzenie i potrzebę istnienia NSZZ „Solidarność”. Oczywiście, działalność związkową trzeba prowadzić w sposób coraz bardziej profesjonalny, ale nie należy przy tym zapominać o naszych ideałach. Dla tych, którzy zostali w „Solidarność”, ideały te wciąż są najważniejsze!

Czy możemy już odpocząć?